



Misjonarze Kombonianie

3 (176)
MAJ-CZE 2023

KATOLICKI DWUMIESIĘCZNIK MISYJNY

Siła rytmu



RÓŻANIEC MISYJNY

KOLOR CZERWONY SYMBOLIZUJE OBYDWIE AMERYKI, gdzie Matka Boża jest bardzo miłowana. Na czerwonych paciorkach modlimy się, żeby Maryja była obecna wśród wszystkich ludów tych kontynentów i przyniosła im swojego Syna, Jezusa, który jest Drogą, Prawdą i Życiem, a także by im pomagała we wszelkich potrzebach. Czerwony kolor tej dziesiątki oznacza przelaną krew wielu męczenników, którzy oddali swoje życie, z odwagą głosząc miłość Boga.

*Tobie, Matko Boża, Gwiazdo Nowej Ewangelizacji,
poświęcamy lud Boży obu Ameryk.*

*Twoja obecność wśród nich czyni wszystkich braćmi i siostrami,
pobłogosław te ludy darem pojednania i pokoju.*



Drodzy Czytelnicy,

Przygotowując ten numer, uświadomiłem sobie, że to już siódmy rok, odkąd rozpocząłem swoją misyjną posługę jako redaktor tego czasopisma. Piszę o tym, ponieważ czuję ogromną wdzięczność wobec swoich poprzedników. Doceniam ich wielki wkład w tworzenie naszego czasopisma. W sposób szczególny pragnę wspomnieć o ojcu Manolo Torresie, który w roku 1993 je zapoczątkował. Kiedy byłem w postulacie, codziennie miałem możliwość przyglądania się jego pracy w redakcji, która znajdowała się wówczas w naszym domu zakonnym w Warszawie. Nie myślałem wtedy, że dwadzieścia lat później to ja będę kontynuował to komboniańskie dzieło. Do dziś noszę w pamięci obraz ojca Manolo, który z wielką troską i dokładnością przygotowywał każdy numer czasopisma. W pracę tę wkładał całe swoje serce. Dokładał wszelkich starań, aby misje stawały się coraz bliższe sercom ludzi.

W imieniu swoim i całej redakcji bardzo dziękuję ojcu Manolo za jego wspaniałe misyjne serce, a także za to, że dzięki niemu możemy to czasopismo wydawać.



PAPIESKIE INTENCJE MODLITEWNE

MAJ Módlmy się, aby ruchy i wspólnoty kościelne każdego dnia na nowo odkrywały swoją misję ewangelizacyjną i służyły swoimi charyzmatami potrzebującym na świecie.

CZERWIEC Módlmy się, aby wspólnota międzynarodowa podjęta w konkretne działania, zmierzające do zniesienia tortur, zapewniając wsparcie ofiarom i ich rodzinom.

3 SŁOWEM WSTĘPU

br. Tomek Basiński MCCJ

4 WIADOMOŚCI

Krótkie informacje ze świata

6 ZAŁOŻYCIELE

Święty Zygmunt Gorazdowski dr Ewa Gniady

8 GWATEMALA

Upadające państwo southworld.net

10 RWANDA

Siła rytmu Carla Fibla García-Sala

13 BIBLIA I MISJE

Nie sądzicie... o. Rafał Leszczyński MCCJ

14 SUDAN POŁUDNIOWY

Inny horyzont jest możliwy Óscar Mateos

18 DIALOG MIĘDZYRELIGIJNY

Dżinizm – nic o dżinach? Ewelina Gwóźdź, ŚMK

20 SPOTKANIA

Godzina nadziei br. Tomek Basiński MCCJ

25 ŚWIECCY MISJONARZE KOMBONIANIE

Doświadczenie misyjne

Michał Kotlarski

26 MŁODZI I MISJE

Siostra Marietta o. Paweł Opióła MCCJ

Moje powołanie o. James Mwamba MCCJ

30 TAKIE JEST ŻYCIE

Doceniać dr Ewa Gniady

Na okładce: Bębniarki, Rwanda (fot. Carla Fibla García-Sala)

WYDAWCA

MISJONARZE KOMBONIANIE

ul. Skośna 4

30-383 KRAKÓW

tel. 12 262 34 68

kombonianie.redakcja@post.pl

nr konta: Pekao SA

56 1240 6074 1111 0000 4989 3999

ISSN 1231-6628

Redaktor naczelny

br. Tomasz Basiński MCCJ

braciszek.tomek@gmail.com

Zespół redakcyjny

dr Ewa Gniady

o. Paweł Opióła MCCJ

o. Rafał Leszczyński MCCJ

Współpracują

Ewelina Gwóźdź ŚMK

Sylwester Laskowski

Aleksandra Rutyna

Świeccy Misjonarze Kombonianie

Mundo Negro (Hiszpania)

southworld.net

Druk

Drukarnia Beltrani

www.drukarniabeltrani.pl



ŚWIAT

ZŁOTY JUBILEUSZ KAPŁAŃSTWA

Pod koniec kwietnia br. Zgromadzenie Misjonarzy Kombonianów przeżywało wielką radość – jubileusz pięćdziesięciolecia kapłaństwa ojca Manolo Torresa. Wielu z naszych czytelników może pamiętać ojca Manolo z czasów, kiedy posługiwał w Polsce. Przez dwadzieścia lat (1991-2011) ofiarowywał nam swoje życie i serce. Z niezrównaną gorliwością działał jako animator misyjny, odwiedzając różne parafie i wspólnoty. Wraz z ojcem Pietro Cozza był współzałożycielem naszego czasopisma, które od trzydziestu już lat kształtuje wrażliwość misyjną i przybliża działalność misjonarzy kombonianów. Po wyjeździe z Polski ojciec Manolo powrócił do ukochanego Konga, gdzie do dziś dzieli się swoją wiarą i uśmiechem, który rzadko znika z jego twarzy.

Drogi ojciec Manolo, wdzięczni Panu Bogu za dar Twojego życia i powołania, życzymy Ci wielu łask Bożych i błogosławieństwa na każdy dzień Twojej misyjnej posługi. Niech Bóg Cię strzeże od wszelkiego zła, a Twoja praca ewangelizacyjna niech przemienia ludzkie serca.

MISJONARZE KOMBONIANIE



WĘGRY

PAPIESKA WIZYTA APOSTOLSKA

Papież Franciszek zakończył swoją 41. wizytę apostolską za granicą, podczas której odwiedził Węgry.

W trakcie trzydniowej wizyty spędzonej w Budapeszcie, stolicy kraju, uczestniczył w siedmiu różnych wydarzeniach. Wygłosił sześć przemówień, w których potwierdził wiarę narodu węgierskiego i wezwał go do integracji i otwartości oraz pomocy w budowaniu pokoju w Europie. Ojciec Święty spotkał się z władzami kraju, z ludźmi ubogimi i uchodźcami, także z Ukrainy, ze wspólnotą grekokatolicką oraz z młodzieżą. Tuż po starcie papieskiego samolotu z Budapesztu wysłał telegram pożegnalny do prezydenta Węgier Katlina Nováka, wyrażając wdzięczność władzom i obywatelom za gorące przyjęcie i szczerą gościnność.

Po powrocie, zgodnie z wieloletnim zwyczajem, zatrzymał się w Bazylice Matki Bożej Większej w Rzymie, aby przed ikoną Matki Bożej *Salus Populi Romani* (Ocalenie Ludu Rzymskiego) podziękować za bezpieczną podróż. Już na początku sierpnia papież Franciszek wyruszy w kolejną podróż, tym razem na Światowe Dni Młodzieży, które odbędą się w Lizbonie, w Portugalii.

OPR. REDAKCJA

ŚWIAT

MODLIMY SIĘ ZA KOŚCIÓŁ W CHINACH

24 maja jest Dniem Modlitwy za Kościół w Chinach. Papież Franciszek napisał: „Drozy bracia i siostry, wszyscy jesteśmy wezwani do rozpoznania wśród znaków naszych czasów tego, co dzieje się dzisiaj w życiu Kościoła w Chinach. Mamy ważne zadanie: towarzyszyć naszym braciom i siostrą w Chinach żarliwą modlitwą i braterską przyjaźnią. Muszą oni bowiem czuć, że na drodze, która się przed nimi w tym czasie otwiera, nie są sami. Muszą być przyjmowani i wspierani jako żywa część Kościoła: *Oto jak dobrze i jak słodko jest braciom mieszkać razem!* (Ps 133, 1).

Niech każda wspólnota katolicka na całym świecie stara się docenić i przyjąć duchowy i kulturowy skarb chińskich katolików. Nadszedł czas, aby wspólnie smakować autentyczne owoce Ewangelii zasiane w łonie starożytnego „Państwa Środka” i wznosić do Pana Jezusa Chrystusa pieśń wiary i dziękczynienia, wzbogaconą o autentycznie chińskie nuty”.

OPR. REDAKCJA



SUDAN

KONFLIKT W SUDANIE

Sudan jest szczególnym miejscem dla misjonarzy kombonianów. To na tej ziemi św. Daniel Comboni rozwijał swoje powołanie misyjne. Od kilku lat w tym kraju dochodziło do napięć, ale ani naród sudański, ani świat nie spodziewał się tak gwałtownego konfliktu jak ten, który wybuchł w ostatnich tygodniach i który już spowodował śmierć wielu osób i znaczne zniszczenia. Pamiętajmy, Drodzy Czytelnicy, o modlitwie w intencji złożenia broni oraz o ducha wzajemnego zrozumienia i dialogu pomiędzy walczącymi frakcjami. Niech Duch Święty pocieszy tych, którzy optakują śmierć swoich bliskich i zniszczenie tego, co budowali przez wiele lat codziennych wyrzeczeń. Przywołujemy wstawiennictwa św. Daniela Comboniego i św. Józefiny Bakhity, prosząc o pokój w Sudanie.

OPR. REDAKCJA



KOSTARYKA

SIOSTRY ZAKONNE RATUJĄ MIGRANTÓW

Setki tysięcy migrantów napływają do Kostaryki od kilku lat. Nie mają nic i mierzą się z ekstremalnymi warunkami przeprawy. Pomoc uchodźcom niosą m.in. siostry zakonne, a że skala przytłacza, rozwijają także sieć współpracy między różnymi zakonami.

Najpierw przybyli Kubańczycy w 2015 r., potem Haityjczycy, następnie Nikaraguańczycy, a w roku ostatnim potężna fala Wenezuelczyków – zaznacza s. María Angélica Tiralle, misjonarka św. Karola Boromeusza. W wywiadzie dla portalu Global Sister Report wyjaśnia, że charyzmatem jej zgromadzenia jest pomoc migrantom,

dlatego też, gdy ujrzała tłumy przybyszy na ulicach, zaczęła z nimi rozmawiać, pytając o potrzeby, oraz zwróciła się z prośbą o wsparcie do innych zakonów żeńskich. Udało się nawiązać owocną współpracę i dziś wiele sióstr poświęca się całkowicie pomocy uchodźcom. Choć, jak zaznacza s. Tiralle, nie jest łatwo zebrać fundusze na ten cel. Wiele osób przybywa z Panamy, mając za sobą przeprawę przez puszcze i bagna przesmyku Darién. Według danych panamskiego rządu, w 2022 r. 250 tys. osób przybyło tą drogą; w pierwszych miesiącach obecnego roku naliczono już 100 tys. migrantów. Wśród nich jest Kolumbijczyk Elquin Lozano wraz z żoną i dwójką córek. „Prawie umarliśmy z głodu podczas przeprawy – zaznacza. – Powiedziano nam bowiem, żebyśmy wzięli jedzenie na dwa dni drogi, tymczasem trwała ona trzynaście dni”. Mężczyzna dodaje, iż niestety po drodze widzieli ciała ludzi, którym się nie powiodło. Jego córka do dzisiaj miewa koszmary. Dziś jego marzenie to zalegalizowanie pobytu w Kostaryce, znalezienie pracy i mieszkania.

Wielu migrantów jest jednak zdeterminowanych iść dalej, aż do Stanów Zjednoczonych. Siostry zakonne przestrzegają ich przed tą drogą, wskazując, że czeka ich wiele niebezpieczeństw równie groźnych jak puszcza. Żal im jest zwłaszcza dzieci. Liczni migranci, zdecydowawszy się raz na porzucenie wszystkiego, chcą jednak za wszelką cenę spróbować dotrzeć do USA.

VATICANNEWS



Święty Zygmunt Gorazdowski

Założyciel Zgromadzenia Sióstr św. Józefa (CSSJ)

„Wśród trudności i cierpień tego życia zawsze pocieszaj się nadzieją nagrody, która czeka dobrych w niebie”.

Zygmunta Gorazdowskiego urodził się 1 listopada 1845 r. w Sanoku. Był drugim z siedmiorga dzieci Aleksandry i Feliksa Gorazdowskich. Wychował się w rodzinie, w której ceniono i respektowano zasady religii katolickiej, a także pielęgnowano głęboki patriotyzm. Niepełna rok po jego narodzinach doszło do rozruchów chłopskich przeciwko szlachcie, tzw. rzezi galicyjskiej. Dzięki swojej opiekunce, która ukryła go pod kołem młyńskim, uniknął śmierci. Od tego momentu Zygmunt borykał się z nabytą wówczas nieuleczalną chorobą płuc, która nieustannie zagrażała jego życiu. W wieku sześciu lat rozpoczął naukę w sanockiej szkole, a następnie uczył się w Przemyśle, dokąd przeprowadziła się jego rodzina. Jako osiemnastoletni gimnazjalista wziął udział w powstaniu styczniowym, ale śmiertelnie zagrożony uaktywnioną chorobą płuc powrócił do rodzinnego domu, by kontynuować naukę. Po ukończeniu gimnazjum podjął studia prawnicze na uniwersytecie we Lwowie. Był zdolnym studentem, dobrze zapowiadającym się przyszłym adwokatem, ale naukę przerwał na drugim roku, by pójść za głosem powołania. W roku 1865 wstąpił do lwowskiego Seminarium Duchownego. Nagłe nasilenie się choroby i zagrażające życiu krwotoki sprawiły, że wstrzymało mu się święcenia kapłańskie i rozpoczęła się dwuletnia walka ze schorzeniem. Dla Zygmunta był to bardzo bolesny czas, a zarazem wielka próba jego wiary. To wtedy złożył Panu Bogu ślub, przyrzeka-



jąc, że jeśli mu użyczy sił, to swoje życie poświęci dla dobra bliźnich. Dzięki żarliwej modlitwie, wbrew lekarskim diagnozom, jego stan zdrowia znacznie się poprawił i w roku 1871 Zygmunt otrzymał święcenia kapłańskie w katedrze lwowskiej. Choroba pomogła mu właściwie rozeznąć i odczytać Boże zamiary względem niego, co wielokrotnie później podkreślał:

„Bogu dziękuję za chorobę, jaką na mnie spuścił, bo gdyby nie ta choroba, nie byłbym księdzem i nigdy bym nie był zadowolony rozminawszy się z moim powołaniem”.

Przez pierwsze sześć lat kapłaństwa posługiwał w pięciu placówkach archidiecezji lwowskiej, a przez kolejne – ponad 40 lat – pracował we Lwowie. Po-

siadał wyjątkowy charyzmat łączenia pracy duszpasterskiej z charytatywną służbą ubogim i cierpiącym. Dał się również poznać jako autor wielu pism i opracowań religijno-katechetycznych. Jego „Katechizm” dla szkół ludowych zalecano w diecezji przemyskiej jako najodpowiedniejszy podręcznik do nauki religii. Opracował i wydał także „Rady i przestrogi” adresowane do młodzieży oraz „Zasady i przepisy dobrego wychowania” dla rodziców i wychowawców. Był też autorem wielu artykułów prasowych, a także założycielem czasopisma dla kapłanów „Bonus Pastor” oraz katolickiej „Gazety Codziennej”. Ten niestrudzony kapłan ujmował wszystkich swoją otwartością i wrażliwością na potrzeby drugiego człowieka.

W roku 1877 księdza Gorazdowskiego przeniesiono do Lwowa, gdzie gorliwie kontynuował swoją działalność. Jego plebania zawsze była otwarta dla ludzi biednych, a nawet żebraków, którzy doskonale wiedzieli, że ten „ksiądz dziadów” i „ojciec ubogich”, jak go powszechnie nazywano, nigdy ich nie przegoni, choć sam żyje bardzo ubogo. Jego konfesjonał zawsze był oblegany, a i on sam odwiedzał w domach zarówno ludzi ciężko chorych i ubogich, jak i najbardziej zatwardziałyłch grzeszników, zachęcając ich do korzystania z sakramentu pojednania. W odpowiedzi na różnorakie trudności związane z przekazem ewangelicznego orędzia ks. Zygmunt podejmował wiele inicjatyw na rzecz ubogich i cierpiących. Dzięki niemu powstała we Lwowie tania *Kuchnia Ludowa*, w której żywili się robotnicy, młodzież, dzieci oraz biedacy. Innym jego dziełem był *Dom Pracy* dla żebraków, *Zakład dla nieuleczalnie chorych i rekonwalescentów*, *Internat św. Józafata* dla ubogich

studentów oraz *Zakład Dzieciątka Jezus* dla samotnych matek i porzucanych niemowląt oraz szereg innych stowarzyszeń dobroczynnych. Pragnieniem tego kapłana było „być wszystkim dla wszystkich, aby zbawić choć jednego”. Jego wielka miłość i nadzwyczajna wrażliwość na ludzkie cierpienie sprawiła, że do prowadzenia tych wszystkich dzieł w roku 1884 powołał do istnienia Zgromadzenie Sióstr Świętego Józefa, zwanego popularnie siostrami józefitkami.

Ksiądz Zygmunt Gorazdowski zmarł w opinii świętości 1 stycznia 1920 r. we Lwowie. Jego beatyfikacji dokonał Jan Paweł II 26 czerwca 2001 r., a papież Benedykt XVI ogłosił go świętym 23 października 2005 r.

Życie świętego Zygmunta Gorazdowskiego – niezwykle bogate w miłosierne uczynki i dobroć – po dziś dzień jest inspiracją dla Zgromadzenia Sióstr św. Józefa. Siostry, naśladując Jezusa Chrystusa ubogiego, pokornego i posłusznego Ojcu oraz niosącego miłosierdzie wszystkim potrzebującym, łączą tę drogę z posługą miłosierdzia wobec ubogich

braci i sióstr. Na tej drodze patronuje im święty Józef, od którego uczą się bezgranicznego zawierzenia Bogu, dyspozycyjności wobec Jego zamierzeń oraz pokornej i cichej służby innym. Zapatrzone w świętego Józefa, jego życie i wierność Bogu do końca, pragną jak on służyć Jezusowi w ludziach potrzebujących, stąd ich dewizą są słowa: „Serce przy Bogu, ręce przy pracy”.

Swoją działalność w Polsce, jak już było wyżej wspomniane, Zgromadzenie Sióstr św. Józefa rozwija od roku 1884 i dziś liczy 32 placówki, w których posługuje ludziom najuboższemu, chorym i opuszczonym, zarówno w ośrodkach służby zdrowia, jak również w instytucjach specjalistycznych dla dzieci niepełnosprawnych, opóźnionych w rozwoju czy ludzi chorych. Z ogromnym poświęceniem i miłością siostry prowadzą wiele zakładów wychowawczych i angażują się w pracę katechetyczną.

Pracę poza Polską Zgromadzenie podjęło w roku 1973 i obecnie pracuje we Włoszech, Francji, Niemczech i w Ukrainie. W 1975 roku rozpoczęło również pracę misyjną.

W tej chwili siostry posługują w 5. krajach Afryki (Kongo RD i RDC, Gabon, Kamerun, Republika Środkowoafrykańska) oraz w Ameryce Południowej w Brazylii.

Bardzo dziękujemy siostrą józefitkom za ich codzienne świadectwo gorliwej służby Bogu i ludziom, za dar modlitwy i dobroć okazywaną każdemu człowiekowi. A przykład życia świętego Zygmunta Gorazdowskiego niech będzie dla nas inspiracją do czynienia uczynków miłosierdzia w naszym życiu. Niech on będzie nam pomocą w znoszeniu codziennych cierpień i chorób, a święty Józef niech wyprasza nam wrażliwość na potrzeby innych. ■



Upadające państwo

Handel narkotykami, korupcja i oszustwa na scenie politycznej to obecny obraz Gwatemali. O zaangażowaniu Kościoła w obronę ubogich – na wzór męczenników z Quiché – opowiedział ks. Rosolino Bianchetti Boffelli, biskup Quiché.

Był sierpniowy dzień 1995 r. Pewien rolnik pracował na swoim polu. Motyka niechcący poruszyła kamień tkwiący w ciemnej ziemi i mężczyzna zauważył dziwny przedmiot: książkę zawiniętą w plastikową torbę. Na grubej czarnej okładce z trudem dało się odczytać słowa „Pismo Święte”. Rolnik uważnie się rozejrzał i z powrotem odłożył znalezisko na swoje miejsce. Na wierzchu rozsypał ziemię i położył na niej kamienie. W tym czasie wystarczyło mieć w domu Biblię, by być torturowanym, a nawet zabitym. Jednak przemoc tych krwawych lat nie zgasiła wiary w ludziach. Książki i inne święte symbole zakopywano, ale nadal je czytano i modlono się przy nich w tajemnicy. Pewien mi-

sjonarz opowiadał: „Chrześcijanie zakopali Biblię. W nocy społeczność zebrała się w tym miejscu, aby przeczytać niektóre fragmenty, wskrzeszając w ten sposób Słowo”. Ta ukryta Biblia symbolizuje pamięć historyczną o wojnie domowej, która trawiła Gwatemalę w latach 1960-1996. Według raportu Recuperación de la Memoria Histórica (REMHI) zginęło wtedy około 200 tysięcy ludzi, ponad milion zmuszono do opuszczenia swoich domów, a setki wiosek zniszczono. Komisja ds. Wyjaśnień Historycznych ponad 93% wszystkich udokumentowanych naruszeń praw człowieka przypisała rządowi wojskowemu Gwatemali i oszacowała, że 83% ofiar stanowili Majowie. W roku

1999 ta sama komisja uznała te działania państwa za ludobójstwo.

Na wyżynach Quiché, na granicy z Meksykiem, zmasakrowano dziesiątki tysięcy ludzi, zdecydowaną większość stanowili biedni i rdzenni mieszkańcy. Wraz z nimi mordowano księży, świeckich, katechistów i animatorów za ich zaangażowanie na rzecz ubogich i uciśnionych. Dwadzieścia pięć lat po zakończeniu konfliktu Kościół uznał ofiarę wielu chrześcijan, którzy zapłacili krwią za wierność Ewangelii, beatyfikacją w dniu 23 kwietnia 2021 r. w diecezji Quiché trzech hiszpańskich księży misjonarzy Najświętszego Serca Jezusowego: José María Grana Cirera, Juana Alonso Fernández i Faustino Villanuevę, oraz siedmiu świeckich:



ELDUKE/Flickr

Tomása Ramíreza Caba, Rosalío Benito Ixchop, Reyesa Us Hernández, Domingo Del Barrio Batza, Nicolás Castro, Miguela Tiu Imul i Juana Barrerę Méndeza, który zginął mając zaledwie 12 lat. Wszyscy oni zostali zamordowani z „nienawiści do wiary” w latach 1980-1991. Znaczenie tej beatyfikacji wyjaśnił biskup Boffelli: „Nasi męczennicy byli ludźmi wielkiej wiary, wielkiego zaufania Bogu, ale jednocześnie wielkiego poświęcenia, aby mogła nastąpić zmiana, inna Gwatemala. Byli to ludzie odważni, którzy nie cofali się przed żadnym zagrożeniem i «uściskali swój krzyż». Byli prześladowani, torturowani i zabijani przez tych, którzy postrzegali nauki Ewangelii jako «niebezpieczeństwo» dla interesów możnych”. Biskup podkreśla również, że przykład odwagi tych chrześcijan jest źródłem inspiracji dla dzisiejszych gwatemalskich wspólnot, które muszą „stawić czoła zagrożeniom naszych czasów, takim jak bieda, brak pracy, wyzysk i przymusowa migracja”. Patrząc na współczesną Gwatemalę, nie boi się potępiać „złych rządów, które stają się jeszcze gorsze z powodu opresyjnej i wszechobecnej przestępczości zorganizowanej, powiązanej z handlem narkotykami”.

„Handel narkotykami opanował państwo na wszystkich poziomach. W kraju nastąpiła inwolucja autorytarna. Nawet instytucje rządzące demokracją, takie jak Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, prokuratura itp., są w coraz większym stopniu kontrolowane przez rząd. Dodatkowo w kraju szerzy się korupcja, jak to miało miejsce między innymi podczas pandemii, kiedy rząd mógł swobodnie dysponować ogromnymi sumami pieniędzy, po-



zostawiając bardzo niewiele obywatelom – kontynuuje biskup, podkreślając zaangażowanie Kościoła. – Jako Kościół katolicki w Quiché skupiliśmy się na formacji przywódców, zaczynając od konkretnych problemów ludzi: na przykład dużych projektów infrastrukturalnych jak kopalnie odkrywkowe lub tamy hydroelektryczne, które dewastują środowisko, zagarniają zasoby naturalne i szkodzą lokalnym społecznościom... Czasami mówi się, że to naród bez nadziei; powiedziałbym raczej, że mamy do czynienia z ludźmi wciąż naznaczonymi krwawiącymi bliznami bestialskiej przemocy i świadomymi obecnej siły handlu narkotykami”.

Biskup wyraźnie podkreśla: „Mamy w Quiché sieć pięciu diecezjalnych stacji radiowych, które nadają programy o tematyce społecznej, kulturalnej, religijnej itd., podobnie w pobliskich diecezjach Huehuetenango i Sololà. Mnogość tych radiostacji służy wzmocnieniu lokalnej ekspresji kulturowej, ale mają one również wspólne programy. Przy okazji ostatnich wyborów politycznych parafie promowały debaty pomiędzy kandydatami, którzy jednak nie odpowiadają na prośby

ludzi i znikają dzień po głosowaniu... Jako Konferencja Episkopatu jesteśmy coraz bardziej przekonani, że konieczne jest utworzenie szkoły dla liderów, chociaż tę pracę, która jest już częściowo obecna, utrudnia emigracja młodych ludzi, często najlepiej przygotowanych”.

Biskup Boffelli mówi: „Chciałbym, aby rola świeckich była coraz bardziej podkreślana i uznawana także na poziomie prawnym. W tym celu potrzebna jest również reforma prawa kanonicznego, która uczyni tę rolę legalną i nie będzie podlegać duchowieństwu. Świeccy mogliby, i to nie tylko w Gwatemali, wnieść znacznie większy wkład, co ożywiłoby Kościół. Jest jeszcze kwestia żonatych duchownych, którą papież Franciszek pozostawił otwartą po Synodzie dla Amazonii, prawdopodobnie po to, by uniknąć podziałów, ale należy wprowadzić możliwość wyświęcania żonatych mężczyzn na kapłanów. We wspólnotach jest wielu przywódców, którzy byłiby doskonałymi kapłanami. Jestem bardzo szczęśliwy, ponieważ w tym roku wyświęciłem już czterech młodych księży, z których część to rdzenni mieszkańcy Q'eqchi i Kaqchikel. Obecna liczba duchowieństwa diecezjalnego to ponad czterdzieści osób. Kiedy przybyłem do Quiché, było nas czterech! Parafrazując Tertuliana powiedziałbym, że «krew męczenników, naszych męczenników, jest nasieniem nowych chrześcijan, nowych kapłanów».

Musimy jednak pomyśleć o dwojakim typie kapłana: żyjącym w celibacie, bardziej misyjnym i wędrownym, oraz żonatym, mieszkającym we wspólnotach. Niech Duch Święty nas oświeci, abyśmy i my mogli iść w tym kierunku”.



Siła rytmu

Dziesięć lat po ludobójstwie, które nazaczyło najnowszą historię Rwandy, kilka kobiet chwyciło za pałki i stworzyło Ingoma Nshya, bębniarską grupę Hutu i Tutsi z różnych klas społecznych. Jest to przykład uzdrowienia relacji, droga do pojednania i dowód na to, że kreatywność nie ma płci.

Sto dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Kigali, po niekończącym się paśmie wzgórz, leży Huye. W tym liczącym

około 320 tysięcy mieszkańców mieście do roku 2013 mieścił się najstarszy uniwersytet w kraju. Można też tu odwiedzić Muzeum

Etnograficzne, w którym znajdują się tradycyjne narzędzia z czasów ostatnich rwandyjskich królów. Te ślady przeszłości, których w Rwan-



dzie nie można się wyrzec, wydają się bardziej nowoczesne, kiedy obserwuje się ruchy, śpiew pieśni i akrobacje około dwudziestu kobiet, które prawie dwie dekady temu stworzyły pierwszą w kraju grupę bębniarek.

Odile Gakire Katese, aktorka, reżyserka teatralna, filmowiec, poetka i perkusistka, założyła *Ingoma Nshya* (*ingoma* może oznaczać „nowy”, „królestwo” lub „władzę”, a *nshya* odnosi się do „bębna”) w roku 2004. W tym samym urodziła się jej córka Aurore, która z dumą pokazuje miejsce

(będące połączeniem księgarni i lodziarni) o nazwie *Sweet Dreams* po pandemii przerobione na salę prób.

Każdego dnia kobiety wynoszą tradycyjne bębny na zewnątrz, na wzniesienie z widokiem na więzienie Huye (organizacja *Prison Fellowship Rwanda* rozpoczęła tam swoją pracę na rzecz pojednania między katami i krewnymi ofiar ludobójstwa), by poczuć rytm i dostrzec, jak ich ciała zdają się łączyć z solidną strukturą bębna. Tańczą z instrumentem, który pozwala im zarabiać pieniądze (za tę działalność otrzymują miesięczną pensję), podróżować, tworzyć, a przede wszystkim poczuć wolność.

„Właśnie skończyłam szkołę średnią i chciałabym zaangażować się w działalność *Ingoma Nshya*, ponieważ była ona zawsze obecna w moim życiu. Chcę pomóc, a jeśli będę miała umiejętności, dołączyć do nich” – mówi Aurore Katese, przyglądając się kobietom spożywającym lunch podczas przerwy. Katese wyjaśnia różnice w rodzajach bębnów, których używają, i wskazuje na potrzebę znalezienia nowych sposobów wyrażania się, ponieważ grupa działa już od wielu lat. – Kiedy *Ingoma Nshya* rozpoczęła działalność, a było to zaledwie dziesięć lat po ludobójstwie, pojednanie było trudne, ludzie nie mogli się zintegrować, ponieważ niełatwo było spotkać się tym, którzy zabili i krewnym zabitych lub rannych ofiar. Kobietom nie wolno było grać na bębnie i moja matka zastanawiała się dlaczego. Nie dlatego, że kobiety nie miały siły, by grać na tym instrumencie, ale po prostu nie mogły na nim grać”.

Odile Gakire Katese zaczęła od zapraszania kobiet do ćwiczenia gry na bębnach po zakończeniu ich obowiązków domowych i gdy ich dzieci były w szkole. Po ludobójstwie kobiety stanowiły ponad 70 procent populacji, więc musiały przejąć nowe role. Zaczęły wykony-

wać zawody tradycyjnie kojarzone z mężczyznami: murarzy, polityków, żołnierzy, prawników itp. Krótko mówiąc, wzięły na siebie odpowiedzialność za poprowadzenie kraju naprzód. Ta zmiana otworzyła Rwandę na kwestię płci, a moment ten wykorzystała Gakire Katese, pisząc nowy rozdział w rwandyjskiej kulturze. To, co zaczęło się jako konieczność podtrzymania zwyczajów przodków, pomogło również zagoić rany po ludobójstwie.

Przez ten cały czas grupa nie jest w Rwandzie przyjmowana z takim entuzjazmem, z jakim spotyka się na międzynarodowych festiwalach. Jej występy w kraju są ograniczone, a kontakt ze stolicą czy dostęp do publicznych funduszy na sztukę jest znikomy. Marie Moella Uwsenma, lat 45, członkini grupy od roku 2008, z sentymentem wspomina podróż do Wielkiej Brytanii. Ludzie tak ich oklaskiwali, byli wzruszeni, „wszyscy wstawali i pokazywali nam, jak bardzo im się to podoba... To był piękny prezent”.

DOŁĄCZENIE DO GRUPY

„W moim przypadku dołączenie do grupy w 2008 r. nie było spontaniczne. Mój sąsiad grał na perkusji, a ja bardzo lubiłam go oglądać i słuchać. Któregoś razu zaprosił swoją żonę do nauki, a ponieważ ja też wykazywałam zainteresowanie rytmem, poprosili również mnie, żebym do nich dołączyła. Tak właśnie zaczęłam” – wyjaśnia Marguerite Mushimiyimana. W wieku 29 lat jest jedną z najmłodszych w grupie, choć swoją technikę doskonalili już od 14 lat.

„Kiedy zobaczyłam, że inne kobiety grają, zadałam sobie pytanie, dlaczego nie ja. Powiedziałam mężowi, że chcę dołączyć do *Ingoma Nshya* i on się zgodził” – mówi Uwsenma, dla której bębnienie jest czymś bardzo naturalnym, nad czym nie musi





się wysilać. Czuje się wtedy zrelaksowana i szczęśliwa, podobnie jak jej koleżanki bębniarki, co łatwo zauważyć, gdy zasiadają za instrumentem.

W soboty odwiedzają szkoły, aby uczyć dzieci swojej sztuki. „Wiele z nich prosi swoich rodziców o zapisanie do grupy. Są też rodzice, którzy decydują się na to, aby bębnienie było częścią edukacji – dodaje Uwsenma, która w dzieciństwie chciała wstąpić do wojska. – Dzięki naszej grupie pokonaliśmy różnice społeczne, segregację... Tutaj wszy-

scy jesteśmy równi, czujemy się zjednoczeni przez bęben”.

„Nie możemy zmienić przeszłości ani sprawić, by problemy społeczne zniknęły, ale bębnienie nas relaksuje i wierzymy, że przynosi pokój.

To co robimy, musi sprawiać przyjemność nam, ale także tym, którzy przychodzą na nasze występy.

To nas rozwesela, odbudowuje... Czujemy, że tworzymy coś dobre-

go” – dorzuca Moella Uwsenma do uważnie słuchającej Marguerite, która przytakuje: „Gramy na swój sposób. Podczas gdy mężczyźni pozostają statyczni, my wykorzystujemy całe ciało, obracamy się, kucamy, skaczemy... Nasz styl jest dynamiczny”.

Atmosfera jest tak swobodna, że trudno się pożegnać. Wykorzystujemy więc skupienie, by poćwiczyć zonglerkę pałeczkami w rytm uderzania w parę bębnów. Będziemy tak ćwiczyć jeszcze przez kilka godzin. ■

Nie sądźcie...

Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni. (Łk 6, 37)

Już ponad dwa tysiące trzysta lat temu wielki grecki filozof Arystoteles stwierdził, że człowiek jest istotą społeczną, to znaczy, że musi żyć wśród innych ludzi i z nimi współpracować. Nie jest jednak łatwo żyć z drugim człowiekiem. Ostatnie wydarzenia choćby w Polsce pokazują, jak bardzo jesteśmy podzieleni, pomimo tej samej kultury, tego samego języka, zwyczajów i historii. Nawet na scenie politycznej ciągle „skaczemy sobie do oczu”, nieustannie osądzając kogoś lub potępiając i nie starając się o głębsze zrozumienie motywacji. W naszych czasach każdy, kto ma język, wypowiada się autorytatywnie na wszystkie możliwe tematy, ale przodują w tym często osoby, których wykształcenie nie bardzo je upoważnia do tego.

Tymczasem św. Łukasz zanotował wskazanie pochodzące od samego Pana Jezusa, żeby powstrzymywać się przed osądzaniem i potępianiem innych, bo to może mieć ważne reperkusje. Tylko Bóg może sądzić, ponieważ zna serce człowieka i to, co ono w sobie kryje.

Przypominam sobie pewną sytuację z mojego życia misyjnego. W Chartumie pracowałem w zespole szkół o nazwie Comboni College. Kompleks ten składał się ze szkoły podstawowej, średniej i wyższej. Liczni uczniowie i studenci oraz ogromne struktury generowały bardzo dużo pracy, więc chętnie przyjmowaliśmy wolontariuszy pochodzących głównie z Europy. Pewnego razu przyjechał do nas młody chłopak. Muszę przyznać, że wolontariusze byli dla nas błogosławieństwem, jednak on doprowadzał mnie do przysłowiowej rozpacz. Miał dwie „lewe” ręce do wszystkiego. Kiedy gdzieś wymieniał za-

rówkę, to zaraz wybijało korki w całej szkole i w naszym domu mieszkalnym. Gdy zabierał się do jakiegokolwiek pracy, to drżeliśmy z obawy, czy zaraz nie będzie małego „trzęsienia ziemi”. Po kilku miesiącach takiego stanu, sam odliczałem dni do końca jego wolontariatu. Doszło nawet do tego, że wszyscy nazywali go „ciamajdą”.

Któregoś razu poproszono mnie, abym udał się z sakramentem namaszczenia chorych na peryferie Chartumu do kobiety cierpiącej na trąd. Była to osoba samotna, nie miała potomstwa, żyła w bardzo skromnych, wręcz nędznych warunkach, w szałasie zbudowanym z palmowych liści. Codziennie chodziła kilka kilometrów do centrum miasta, aby wraz z innymi trędowatymi uzbierać parę monet na chleb i wodę. Czasem zachodziła do naszego collegu, prosząc o coś do jedzenia czy ubrania. Kiedy do niej pojechałem z namaszczeniem chorych, to rzeczywiście już bez sił leżała na macie rozciągniętej na piasku i ledwo poruszała wargami. Żeby usłyszeć, co mówi, musiałem nachylić się blisko jej twarzy. Wtedy powiedziała coś zupełnie niezrozumiałego dla mnie, choć dobrze słyszałem jej słowa:

– Nie chcę umierać bez mojego anioła!

Pomyślałem, że ona może już dobrze nie wie, co się dzieje, choć zupełnie świadomie poprosiła o spowiedź, wiatyk i namaszczenie chorych. W czasie tych wszystkich czynności oraz modlitwy razem z zebranymi ludźmi kątem oka zauważyłem, że jest tam też nasz „ciamajda”. Podszedł do umierającej, a ona chwyciła go za rękę i powiedziała:

– Abuna, teraz nie boję się już i mogę odejść, bo jest przy mnie mój anioł.

Zdziwiony zapytałem:

– Miriam – bo tak było jej na imię – gdzie jest ten twój anioł? Czy mogę go zobaczyć?

Wtedy ona podnosząc rękę, resztką sił wskazała na „ciamajdę”. Okazało się później, że on po pracy w szkole przychodził na peryferie Chartumu, tam gdzie mieszkają głównie chrześcijanie, i odwiedzał ich, słuchał na tyle, na ile potrafił zrozumieć, czasem nawet na migi rozmawiał z nimi i spędzał z nimi czas. Jak tylko potrafił, pomagał im w codziennych potrzebach. Po prostu był. W okolicy, gdzie Miriam żyła i zmarła, nazywali naszego „ciamajdę” aniołem.

Wtedy właśnie przyszły mi na myśl te ewangeliczne słowa: nie sądźcie, nie potępiajcie! Może warto, Drodzy Czytelnicy, zastosować tę radę Pana Jezusa, tak na poważnie, w naszym codziennym życiu. ■



Inny horyzont jest możliwy

Niedawna wizyta papieża Franciszka sprawiła, że rzeczywistość Sudanu Południowego ponownie stała się przedmiotem dyskusji. W związku z wyborami, które przełożono na rok 2024, społeczeństwo obywatelskie i główne społeczności etniczne mają nadzieję, że zostaną dopuszczone do udziału w procesie pojednania narodowego, jak to miało miejsce podczas Dialogu Narodowego przeprowadzonego w 2016 r.

Historia Sudanu Południowego od uzyskania niepodległości w 2011 r. to ciąg niespełnionych oczekiwań. Narodzinom tego ostatniego suwerennego państwa na świecie towarzyszyła obietnica lepszej przyszłości dla społeczeństwa, które przez dekady cierpiało wskutek wojen. Jednak już w roku 2013, tuż po odzyskaniu niepodległości, kraj stał się sceną jednego z najbardziej

zabójczych konfliktów zbrojnych ostatniej dekady na kontynencie afrykańskim. W wyniku konfrontacji między frakcją SPLM (Ludowa Armia Wyzwolenia Sudanu), kierowaną przez prezydenta Salvę Kiira, a frakcją, na czele której stoi wiceprezydent Riek Machar, zginęło ponad 400 tys. osób, a miliony zostały przesiedlone. Wysiłki dyplomatyczne poczynione w ostatnich latach doprowadziły do zawarcia dwóch porozumień pokojowych: w roku 2015, które zakończyło się niepowodzeniem na wczesnym etapie, oraz obecnego, osiągniętego w roku 2018, które ustanawia ramy odbudowy i pojednania kraju na najbliższe lata. Mimo to Sudan Południowy nie rezygnuje z pisania przyszłości innej niż ta, którą zapowiada teraźniejszość. Istnienie różnych inicjatyw promujących pojednanie i współistnienie, możliwość

przeprowadzenia demokratycznych wyborów – odroczonych do 2024 r. – oraz zapędy pokolenia młodych ludzi mających dość przemocy i elit politycznych trzymających się władzy to tylko niektóre z kluczowych kwestii, które mogą nakreślić nowy horyzont.

HISTORIA NIESPEŁNIENIA

W roku 2006 – rok po podpisaniu historycznego porozumienia pokojowego między rządem w Chartumie kierowanym przez Omara Hassana al-Bashira a SPLA Johna Garanga – nastroje w Dżubie, nowej stolicy Sudanu Południowego, były pełne znaczącego napięcia, ale także ogromnych oczekiwań społecznych i politycznych. Nie ufano, że referendum – które w końcu odbyło się w styczniu 2011 r. – może się odbyć, pojawiły się także podejrzan



ARCH. BP CHRISTIAN CARLASSARE

głoski, że śmierć Garanga w katastrofie helikoptera kilka miesięcy po zawarciu porozumienia pokojowego nie była przypadkowa. Mimo to panowała atmosfera nadziei na lepszą przyszłość w okresie (od porozumienia pokojowego do referendum), który po kilku latach uznano za „miesiąc miodowy” nowego afrykańskiego państwa. W roku 2022 w rozmowach z młodymi aktywistami, profesorami uniwersytetu w Dżubie i szefami lokalnych organizacji dało się jednak wyczuć powszechną frustrację odnośnie tego, co mogło się wydarzyć, ale dotąd się nie wydarzyło.

Wkrótce w kraju nastąpiła nowa faza protagonizmu zbrojnego. Frakcje, które historycznie były rywalami wewnątrz samego SPLA, zaznaczały swoje różnice i nieufność wobec nowego zjednoczonego rządu. Ponadto w tamtym czasie pogorszyły się wszystkie wskaźniki gospodarcze i społeczne: wartość funta południowosudańskiego spadła, wskaźnik ubóstwa wśród ludności wzrósł do 82%, a dwie trzecie mieszkańców potrzebowało jakiejś formy pomocy humanitarnej. Skutki pandemii, a przede wszystkim powodzi, które w ostatnich latach nawiedziły niemal cały kraj, pogorszyły sytuację, która dla całego społeczeństwa jest niezwykle poważna. Należy do tego dodać powtarzające się doniesienia licznych organizacji społecznych o istnieniu atmosfery bezkarności i braku swobód. W tym kontekście nasuwa się jedna myśl: niepodległość nie przyniosła prawdziwej wolności całemu społeczeństwu. Albo innymi słowy, można stwierdzić, że wolność jest czymś znacznie szerszym, bardziej złożonym i wielowymiarowym niż zwykła niezależność polityczna.

Jakie są przyczyny takiego scenariusza? Niektóre media i organizacje



ANTHEAP/FLICK

międzynarodowe chętnie rozpow szechniały zbyt proste narracje, koncentrując się na konfliktach tożsamościowych (rywalizacji pomiędzy plemionami Dinka i Nuer) lub obarczając winą za sytuację osobiste ego przywódców dwóch walczących frakcji – Kiira i Machara – jak również oczywistą niezdolność obecnej elity politycznej do rządzenia krajem. Oba te aspekty – tożsamość i zarządzanie – mogą być ważne dla zrozumienia obecnej sytuacji, jeśli zostaną odpowiednio skontekstualizowane, ale same w sobie niczego nie wyjaśniają. Francuski akademik Gérard Prunier, jeden z czołowych głosów w analizie tego kontekstu, nalegał na przykład, aby nie tracić z oczu czynników strukturalnych, które warunkowały historię kraju, takich jak brytyjska polityka kolonialna prowadzona od XIX wieku. Inne analizy nawiązują również do kultury przemocy, która utrwałała się w ciągu dziesięcioleci konfron-

tacji zbrojnej, a także do dynamiki podziału między frakcjami SPLA, którą rząd Al Bashira mistrzowsko wykorzystał i pielęgnował, a która od początku utrudniała współistnienie polityczne. Wydaje się jasne, że poza oczekiwaniami społecznymi istnieje wiele innych czynników, które od początku stanowiły ogromne wyzwanie dla budowy tego nowego państwa.

OD DIALOGU NARODOWEGO DO WUNLIT

Poza dominującym pesymizmem w odniesieniu do bieżącej sytuacji i przyszłości kraju ostatnie porozumienia pokojowe włączyły wyzwanie sprawiedliwości przejściowej jako podstawowy aspekt przezwyciężania aktualnych trudności. Porozumienia pokojowe z 2015 i 2018 r. zakładały wdrożenie dwóch instrumentów, które jednak w doświadczeniach takich krajów



ANTHEAP/FLICK

jak Sierra Leone skończyły się rozbieżnościami i problemami. Z jednej strony przewiduje się powołanie Komisji Prawdy i Pojednania, która ma wyjaśnić z perspektywy ofiar podstawowe przyczyny dziesięcioleci przemocy. Z drugiej planuje się powołanie trybunału, który osądzi głównych sprawców wojny. Podczas gdy komisja opowiada się za wizją skupiającą się na społeczeństwie, opartą na cierpieniu ofiar jako sposobie promowania pojednania w kraju, drugi instrument – lansowany szczególnie przez podmioty międzynarodowe – ma za główny cel zapobieganie bezkarności za zbrodnie wojenne, co, nawiasem mówiąc, niepokoi obecny rząd ze względu na reperkusje, co takie działania mogłoby wywołać w odniesieniu do niektórych jego przywódców. Nie wiadomo jeszcze, jaki wpływ będą miały te instrumenty na proces pojednania. Dominuje

poczucie, że obie inicjatywy staną się narzędziami stworzonymi przez krajowe lub międzynarodowe elity i przy niewielkim zaangażowaniu południowosudańskich aktorów społecznych.

Istnieją jednak dwa inne doświadczenia, które uznano za inicjatywy mogące mieć większy potencjał transformacyjny w procesie pojednania. Pierwszym był tzw. Dialog Narodowy zwołany przez samego Salvę Kiirę w 2016 r. w obliczu istniejącej atmosfery podziału i konfrontacji. W tym procesie wyróżniają się dwa aspekty. Z jednej strony, pomimo wezwania przez sam rząd, organizacje społeczne i społeczności lokalne zawłaszczyły przestrzeń do rozmowy, słuchania, rozwiązywania konfliktów i wizji przyszłości kraju, przekształcając to doświadczenie w inicjatywę znacznie bardziej oddolną niż się spodziewano. Z drugiej strony, w raporcie final-

nym dostarczonym rządowi pod koniec listopada 2020 r. domagano się między innymi potrzeby promowania modelu federalnego, który daje więcej władzy stanom, ale również żądano, aby ziemia była „własnością społeczności i zarządzana przez różne poziomy rządu zgodnie z prawem” oraz aby obecne elity polityczne kraju ustąpiły, umożliwiając przeprowadzenie pierwszych demokratycznych wyborów.

Drugą godną uwagi inicjatywą jest inicjatywa Rift Valley Institute (RVI), ważnego *think tanku* w Rogu Afryki, oraz Douglasa H. Johnsona, jednego z najbardziej prestiżowych międzynarodowych ekspertów od historii tego kraju, który zaproponował model pojednania. Według nich kluczem do porozumienia pokojowego z 2005 r., w ramach którego przeprowadzono również dialog Południe-Południe, dotyczący poważnych podziałów wewnętrznych



ANTHEAP/FLICKR

w SPLA, zwłaszcza między społecznościami Dinka i Nuer, i który miał miejsce w latach 1999-2002 w miasteczku Wunlit (Bahr El Ghazal), były tradycyjne przestrzenie i mechanizmy, splatające silne więzi pomiędzy liderami społeczności mocno wówczas ze sobą skłóconymi. „Powrót do Wunlit” oznacza zatem ponowne postawienie w centrum uwagi inicjatyw społecznych opierających się na tradycyjnych podejściach, które tak dobrze sprawdzały się w przeszłości. Dla tych ekspertów „pokój w Wunlit to Sudan Południowy. Gdyby nie było Wunlit, nie istniałaby dziś flaga tego kraju”.

JAKA PRZYSZŁOŚĆ CZEKA KRAJ?

Podczas niedawnej wizyty w Sudanie Południowym papież Franciszek skierował wymowne napomnienie do setek tysięcy ludzi,

k którzy uczestniczyli w zgromadzeniu w Dżubie:

„Bracia i siostry [...] jesteśmy wezwani do wstawiania się za naszym narodem, do podnoszenia głosu przeciwko niesprawiedliwości i nadużyciom władzy, które uciskają i używają przemocy dla własnych celów wśród chmury konfliktu”.

Te mocne słowa Franciszka przypominały również gest, jaki wykonał w kwietniu 2019 r. przed Salvą Kiirem i Riekim Macharem, kiedy to uklęknął i ucałował ich stopy, by prosić o zakończenie przemocy. Faktem jest, że konieczność odciążenia pokolenia przywódców wojskowych i politycznych, którzy dorastali i żyli w scenariuszu wojny, a dziś sterują

losami kraju, jest rozumiana w wielu sektorach jako priorytet. Stoją oni przed pokoleniem młodych ludzi, którzy dorastali w bardzo różnych kontekstach i którzy pragną budować kraj wolny od przemocy, skoncentrowany na dobrostanie ludzi. Demokratyczne wybory – pierwsze w tym kraju – mogłyby być dobrą okazją do promowania zmiany pokoleniowej, której naród potrzebuje. Możliwość ta wydaje się jednak mało prawdopodobna. Przypuszczalnie stare elity polityczne niechętnie oddadzą władzę w krótkim czasie lub będą się obawiać represji sądowych po zakończeniu kadencji. W miarę zbliżania się wyborów może też wzrosnąć atmosfera podziałów i napięcie pomiędzy frakcjami. Wszystkie scenariusze są możliwe, również ten, w którym prędzej czy później przemoc ustanie, aby napisać inną historię tego najmłodszego afrykańskiego kraju. ■

Dżinizm – nic o dżinach?

Słyszając po raz pierwszy tę nazwę, nie da się nie pomyśleć o bajkowej postaci mieszkającej w lampie – sympatycznym dżinie spełniającym życzenia. Jednak, żeby poznać dżinizm, należy zapomnieć o niebieskim duszku i zamiast na Bliski Wschód udać się do Indii.

Dżinizm narodził się pomiędzy XI-VIII wiekiem przed narodzeniem Chrystusa. Za jego twórcę uznaje się półmitycznego Parśwę. Żyjący kilka wieków później Mahawir zreformował i usystematyzował ten nowy system filozoficzny, dlatego często również jego podaje się za założyciela dżinizmu. Obaj – Parśwa i Mahawir – byli tak zwanymi thirthankarami, czyli duchowymi nauczycielami. Mahawir, żyjący w VI-V wieku p.n.e., był rówieśnikiem Buddy i podobnie jak on przeżył „oświecenie”. W wieku 30 lat zostawił żonę i córkę, i rozpoczął ascetyczne życie pustelnika. Po dwunastu latach – podczas jednej z medytacji – uznał, że osiągnął stan

przebudzenia i doskonałe poznanie i stał się dżiną, czyli zwycięzcą. Następnie opracował zasady nowej religii i zaczął podróżować po Indiach, aby je rozpowszechniać. Zmarł w wieku ok. 77 lat poprzez dobrowolne zagłodzenie się, gdy uznał, że nadszedł jego czas. Powstanie tej nowej religii było reakcją na monopol religijny braminów, który zaniedbywał aspiracje religijne niższych warstw społeczeństwa oraz silny formalizm liturgii hinduizmu. Z tego też powodu dżinizm odrzucił między innymi system kastowy.

Nazwa dżinizm lub dżinizm wywodzi się od wspomnianego wcześniej słowa „dżina” oznaczającego „zwycięzcę” lub „pogromcę”. Odnosi

się do duszy, która pokonała swoich „wewnętrznych wrogów”, osiągając stan wyzwolenia. Dżinizm jest religią nonteistyczną, co oznacza, że nie neguje istnienia boga, boga stwórcy czy boga osobowego, ale w swych założeniach o osobie boga w ogóle nie wspomina. System filozoficzny dżinizmu całą swą doktrynę opiera na trzech filarach: hinsa, anekantavada i aparigraha. Hinsa oznacza „niekrzywdzenie” jakiegokolwiek istotny. Dlatego większość dżinistów to wegetarianie i pacyfiści, niektórzy nawet nie jedzą warzyw korzennych, aby podczas wyrywania ich z ziemi przez przypadek nie skrzywdzić żyjących tam organizmów. Inni chodzą boso, zamiatając gałązką drogę przed sobą, aby nie nadepnąć na żadne żyjątko, a jeszcze inni nie używają ubrań, bo ich produkcja krzywdzi żywe istoty. Drugi filar dżinizmu, czyli anekantavada, oznacza „świadomość niewiedzy”. Dla człowieka wszechświat jest niemożliwy do ogarnięcia, dlatego żadna prawda nie jest do końca prawdą. W związku z tym wydając osąd, nigdy nie możemy być pewni, że jest w stu procentach prawdziwy. Trzeci filar – aparigraha – oznacza „nieprzywiązywanie się”. Nie należy poddawać się żądzy posiadania i gromadzenia rzeczy. Inaczej mówiąc, jest to wyrzeknięcie się przywiązania do świata, jego dóbr i uciech. Oprócz wspomnianych wyżej filarów dla pobożnego dżinisty ważne jest przestrzeganie zasad: satja



WIKIMEDIA/ANTOINETAV

– powstrzymanie się od kłamstwa, asteya – powstrzymanie się od kradzieży oraz brahmaćarja – nieuczdołożenie, a w przypadku mnichów i mniszek powstrzymanie się od wszelkich aktów seksualnych. Wspomniani już trithankarowie, do grona których zalicza się założycieli dżinizmu, to nauczyciele duchowi, którzy wydostali się z kręgu reinkarnacji poprzez „zdobycie” trzech klejnotów: należytego spojrzenia, czyli wiary w prawdy dżinijskie, należytej wiedzy poprzez czytanie świętych tekstów i słuchanie nauczania mędrców i mnichów oraz należytego zachowania, czyli przestrzegania zasad dżinizmu. Głównym hasłem dżinistów jest „Dusze służą sobie wzajemnie”. Dusze, nazywanych jiva, jest nieskończenie wiele, bo oprócz ludzi mają je także zwierzęta, rośliny, kamienie i woda. Ogólnie wszystko, co istnieje, ma w sobie pierwiastek życia i służy sobie wzajemnie podczas wędrówki po świecie. Piekło i niebo to stan przejściowy pomiędzy kolejnymi narodzinami, a więc nie trwają wiecznie. Ostatecznie tylko niewielka grupa trafia do miejsca, gdzie dusze łączą się w całość po osiągnięciu wyzwolenia. Duszę, która się wyzwoliła, określa się słowem siddha – doskonałe istnienie.

Wyznawcy dżinizmu wierzą, że świat nigdy nie powstał ani nigdy się nie skończy. Składa się z dwóch części: niebiańskiej (w jej skład wchodzi siedem niebios) oraz ziemskiej, czyli krainy potępionej, która składa



się z siedmiu piekieł. Po wiekach istnienia dżiniści podzielili się na dwa odłamy: digambarów chodzących nago i śwetambarów, którzy noszą białe szaty. Różnią się one między sobą nieznacznie w kwestiach etycznych oraz przyjętym kanonem ksiąg.

Kanon świętych pism dżinijskich zawiera około pięćdziesięciu tekstów podzielonych na trzy grupy. W ich skład wchodzi między innymi pisma dotyczące dyscypliny klasztornej, dziesięć tekstów doktrynalnych oraz ich rozwinięcie, serie apologii, kazań, dialogów na temat dogmatów, biografie świętych i uczniów świeckich, opisy błędów i zaniedbań oraz spis konsekwencji dobrych i złych czynów.

Do świętych miejsc dżinistów należą: święta góra Abu i znajdujący się tam kompleks świątyni; Shrava-

nabelagola – święte miasto digambarów słynące z 18-metrowego posągu dżinijskiego świętego Bahubalina; góry Girnar w stanie Gujarat, gdzie znajduje się święte miasto świetambarów. Symbolem dżinizmu jest otwarta dłoń, na której namalowane jest słońce. Reprezentuje ona brak przemocy, komfort moralny i współczucie. Innym symbolem dżinizmu jest czerwona, lewoskrętna swastyka, popularny w Azji symbol szczęścia i pomyślności. W środku znajdują się cztery niebieskie kropki będące znakiem czterech światów: świata ludzi, świata bogów, świata zwierząt i roślin oraz świata demonów. Tylko świat ludzi jest otwarty na wyzwolenie, dzięki wspomnianym

trzem klejnotom, które umożliwiają dostęp do wyzwolenia z cyklu reinkarnacji.

Obecnie na świecie żyje – w zależności od podawanych źródeł – ok. 7 milionów dżinistów, z czego ponad 97% w Indiach. Zamieszkują głównie dwa stany: Gujarat i Radżasthan. W Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Belgii, w Afryce, Azji Południowo-Wschodniej oraz w Australii mieszka 3% wyznawców dżinizmu. Nic nie wiadomo o tym, aby dżiniści zamieszkivali obszar Polski.

Dżinizm w swojej doktrynie i wyznawanych wartościach bardzo przypomina inne azjatyckie systemy filozoficzne: buddyzm, hinduizm czy braminizm. Uniwersalne przesłanie o miłości bliźniego, rozszerzone do wszystkich istot żywych, to niewątpliwie wielka zaleta tej religii, o której warto pamiętać. ■



**Godzina
nadziei**

Ojciec Manuel João jest kombonianinem. Bóg obdarzył go niezwykłą radością i pokojem ducha, którymi on potrafi się dzielić z innymi w sposób bardzo szczególny. Poprosiłem go, żeby również z Wami, Drodzy Czytelnicy, podzielił się swoim życiem, powołaniem, wątpliwościami i nadziejami.

Jak zrodziło się powołanie misyjne Ojca?

Moje powołanie misyjne narodziło się wraz ze mną. Od wczesnego dzieciństwa bardzo pragnąłem zostać księdzem. Być może działało się tak dzięki mojej mamie, która od moich wczesnych lat pytała mnie podczas Mszy Świętej: „Manelzinho (czyt. Manelziño, portugalskie zdrobnienie imienia Manuel), a może i ty chciałbyś być księdzem?”. To pragnienie rosło we mnie do tego stopnia, że kiedy inni pytali mnie, kim chciałbym zostać, gdy dorosnę, odpowiadałem z przekonaniem: „Księdzem!”. Koledzy z klasy, a nawet niektórzy z mojej rodziny śmiali się ze mnie, ale to marzenie pozostawało wciąż żywe.

Kiedy miałem dziesięć lat, do szkoły przyszedł pewien kombonianin i z ogromnym entuzjazmem mówił nam o powołaniu misyjnym. Na koniec zapytał, kto chciałby pojechać z nim do Afryki. Nikt wtedy nie podniósł ręki. Nawet ja. Ze zwykłej nieśmiałości. Nauczycielka, która być może przeczuwała, że mogę być tym „kandydatem”, podczas przerwy przedstawiła mnie misjonarzowi. Kilka miesięcy później przyjęto mnie do niższego seminarium. I tak narodziło się moje powołanie jako kombonianina.

Oczywiście, moja droga była długa. Wraz z dojrzewaniem pojawiły się pierwsze wątpliwości. W nowicjacie, podczas rekolekcji przygotowujących do złożenia pierwszych

ślubów zakonnych poszedłem do przełożonego i powiedziałem: „Ojcie, boję się!”, a on mi odpowiedział: „A myślisz, że inni tego nie czują? Zrób jak oni, zamknij oczy, zaufaj Bogu i wykonaj ten krok!”. Tak też zrobiłem!

A co z wątpliwościami?

Wątpliwości niebawem powróciły. Zastanawiałem się, czy to jest moja droga! Zazdrościłem kolegom, którzy byli pewni swego i nawet chcieli przyspieszyć swoje śluby wieczyste i święcenia, podczas gdy ja starałem się odkładać je jak najdłużej. Pamiętam, że skarżyłem się Bogu, że nie jest dla mnie bardziej czytelny. Nie przyjmowałem do wiadomości, że takie jest prawo Boga, Jego obecności,





Jego głosu i znaków. To były burzliwe czasy końca lat sześćdziesiątych zeszłego wieku, kiedy to kwestionowano wartości życia zakonnego, a zwłaszcza celibatu.

W pamięci utkwiała mi pewna historia. Było to latem 1977 r. w Londynie podczas wakacyjnego doświadczenia pracy ze studentami różnych narodowości. Dwie dziewczyny, pochodzące z Irlandii, dowiedziawszy się, że jestem klerykiem, zwierzyły mi się, że zauważyły we mnie coś „specjalnego” i – ku mojemu zaskoczeniu – zachęcały mnie do pójścia dalej drogą zakonną. Wówczas uświadomiłem sobie perłę, którą nosiłem w sobie, a która z czasem jakoś się zakurzyła. To był moment decyzji. Wracając do Rzymu, by dokończyć studia, z wielkim spokojem poprosiłem o profesję wieczystą i święcenia kapłańskie.

Wtedy to Ojciec powiedział definitywne „tak” Panu Bogu?

Tak, ale chcę dodać, że ta ostateczna decyzja wcale nie wynikała

z wyjaśnienia moich wątpliwości, tylko raczej z bardzo intymnego przekonania, że nawet jeśli przyszłość pokaże, że była pochopna lub błędna, Pan Bóg nada sens mojej historii. To przekonanie stało się dla mnie jak „obietnica sensu”: „Zawsze będę z tobą, aby nadać sens twojemu życiu!”. To przyrzeczenie zawsze mi towarzyszy i oświeśla trudne chwile mojego życia.

Na kilka dni przed święceniami tato zwierzył mi się, że w chwili mojego poczęcia (a jestem najstarszym synem) rodzice uczynili coś w rodzaju modlitwy czy konsekracji: „Panie, jeśli nasze pierwsze dziecko będzie chłopcem, ofiarujemy go Tobie, aby został księdzem!”. I powiedział, że nie mówił mi tego wcześniej, aby nie warunkować mnie w wyborze. Jeszcze inne wyznanie, tym razem od mojej mamy, poruszyło mnie głęboko, ale zatrzymuję je tylko dla siebie. Odnajduję siebie w powołaniu proroka Jeremiasza, z jego wątpliwościami, lękami i nieśmiałością, ale powołanego przez Boga z łona matki!

Pracował Ojciec w różnych wspólnotach i krajach aż do roku 2010, kiedy to wydarzyło się coś, co zmusiło Ojca do powrotu i pozostania w Europie...

Pewnego razu zacząłem mieć problemy z chodzeniem. Zastanawiałem się, co jest tego przyczyną. Na początku myślałem, że to brak ruchu, dlatego wieczorami po zakończeniu zajęć zacząłem jeździć na rowerze. Jednak problemy z nogami nie ustawały, więc poszedłem do neurologa, który po kilku badaniach zalecił mi natychmiastowy powrót do Portugalii, mojego kraju, na dalsze badania. Dał mi też list w zaklejonej kopercie, który miałem przedstawić specjalście. Po powrocie do domu otworzyłem kopertę i przeczytałem werdykt, prawdopodobna diagnoza: stwardnienie zanikowe boczne, czyli SLA. W Lizbonie to potwierdzono. Kiedy zapytałem lekarza, jaki może być przebieg choroby, odpowiedział: „Bardzo prosty, najpierw będziesz chodził o kulach, potem na wózku, potem...”. Podziękowałem mu za szczerość i wyszedłem. Powróciłem do Togo, aby dokończyć posługę jako przełożony kombonianów w Afryce Zachodniej (Togo, Ghana i Benin), a pod koniec roku wróciłem do Europy. Podczas Mszy Świętej pożegnalnej ludzie ofiarowali mi wiele prezentów. Podziękowałem im, ale powiedziałem, że brakuje głównego prezentu: kija! Wszyscy gromko odpowiedzieli: „Nieeee, ojczel!”. Jednak wieczorem doradca prezydenta Togo przyniósł mi pięknie rzeźbioną łaskę, którą sam otrzymał od prezydenta.

Jak Ojciec zareagował na tę diagnozę?

Pierwszej nocy trochę płakałem, ale potem Pan Bóg obdarzył mnie łaską, której się zupełnie nie spodziewałem – wielką pogodą ducha towarzyszącą mi do dzisiaj. Zresztą codziennie proszę Pana o uśmiech.

Oczywiście, na początku zastanawiałem się, dlaczego mnie to spotkało, ale natychmiast sam sobie odpowiedziałem: „A dlaczego nie miałyby mnie spotkać? Czyżbym był uprzywilejowany?”.

Czasami kiedy ktoś umiera nagle we śnie ludzie mówią, że taka śmierć jest godna pozazdroszczenia. Ja natomiast kiedyś myślałem, że jest to życie przerwane i prosiłem Boga, aby pozwolił mi umrzeć świadomym Jego przyjscia, abym mógł oddać swoje życie w Jego ręce. No ale też Mu się skarżyłem: „Panie, czy nie uważasz, że to za wcześnie?”.

Z początku często myślałem o czasie, kiedy będę całkowicie uwięziony w swoim ciele, ale jedna pewność dawała mi pokój: „Nie będę sam, Pan też będzie we mnie więźniem!”.

Myślałem również o możliwości całkowitego odizolowania się od rzeczywistości zewnętrznej, ale rosło także we mnie inne przekonanie: „Zawsze będę miał możliwość życia w świecie wewnętrznym, które jest w katedrze mojego serca!”. Teraz, gdy pytają mnie o to, jak się czuję, odpowiadam: „Mam się dobrze!”. Wiem, że jest tak dzięki wielu osobom, które mnie kochają i modlą się za mnie!”.

Twoja postęga, Ojcie, na pewno zmieniała się wraz z rozwojem choroby...

Tak, oczywiście. Na początku spodziewałem się, że będę żył co najwyżej kilka lat. Widziałem przecież, jak na tę samą chorobę umierają moi przyjaciele, których poznałem podczas leczenia. Ponieważ Pan Bóg dał

mi kilka dodatkowych lat (to już ponad dwanaście!), pomyślałem o zaoferowaniu swojego niewielkiego wkładu w dziedzinę formacji ciągłej moich współbraci. Stworzyłem blog, na którym dzielę się swoimi przemyśleniami i refleksjami na różne tematy. Tak długo, jak pozwalało mi na to zdrowie, angażowałem się we współpracę z kilkoma wspólnotami, dając swoje świadectwo i pielęgnując przyjaźnie.

Kiedyś Ojciec powiedział, że wózek inwalidzki stał się dla niego amboną...

Dokładnie tak. Wózek inwalidzki postrzegam jako ambonę, którą Bóg mi dał do głoszenia Słowa Bożego. Uważam, że nasz krzyż jest najbardziej odpowiednim miejscem do ewangelizacji. Siebie widzę jako proroka Jonasza w brzuchu wieloryba, prowadzącego mnie tam, gdzie Bóg chce, abym był. Płynę po morzu życia pomiędzy jego dwoma brzegami. Z jednego oka wieloryba patrzę na życie na tym brzegu, z drugiego dostrzegam przeciwny brzeg, który na nas czeka, we mgle wiary i nadziei.

Od pięciu lat jest Ojciec całkowicie unieruchomiony. Jak Ojciec przeżywa zależność od innych?

To mój sposób na przeżywanie ślubu ubóstwa: konieczność proszenia o wszystko! Ale jest to też sposób na pielęgnowanie wdzięczności za każdy drobiazg. Oprócz tego, że dziękuję Bogu za wszystkich ludzi, którzy wspomniałomyślnie robią wszystko, co w ich mocy, aby mi pomóc, staram się też zawsze odpłacać uśmiechem na ustach i błogosławieństwem w sercu. Prawdę mówiąc, jest to bardzo łatwe, ponieważ wszyscy mnie kochają i rozpieszczają! Zależność od innych to także ćwiczenie zaufania i poddania się, ale przede wszystkim siłownia, na której trenuję cierpliwość!



A jak Ojciec komunikuje się z innymi, na przykład teraz odpowiadając na moje pytania?

Porozumiewam się głównie za pomocą oczu, jedynej części ciała, którą mogę jeszcze poruszać. Oczami piszę dzięki komputerowi ze specjalnym oprogramowaniem, które „odczytuje” ruchy moich oczu. Jeden z wielu cudów współczesnej techniki!

A co z realizacją powołania misyjnego?

Kocham życie i uwielbiam powtarzać, że życie jest piękne! Staram się przekazywać to poczucie zachwytu tym, którzy mnie otaczają. Nadal interesuję się i towarzyszę życiu naszego świata, społeczeństwa, Kościoła i misji. Robię to z pa-

sji i wciąż działam na moim blogu comboni2000.org

Bywa, że ludzie, którzy doświadczają choroby i cierpienia, odczuwają żal i złość wobec Boga. Jaka jest dziś relacja Ojca z Panem Bogiem?

W chorobie odkryłem Bożą hojność! W Ewangelii świętego Mateusza jest taki fragment, gdzie przyjsię Pana jest porównane do przyjsia złodzieja. Kiedyś myśląc o tym, miałem wrażenie, że musi to być bolesne doświadczenie i prosiłem Boga, aby nie odwiedzał mnie jako złodziej. Żeby przyszedł jako przyjaciel i zapukał do moich drzwi, nawet jako niecierpliwy przyjaciel, do tego stopnia, że zmusi mnie, abym mu otworzył czy to z przyjaźni, czy

też z przymusu! Kiedy odwiedził mnie z chorobą, spontanicznie wykrzyknąłem: „Panie, jesteś złodziejem!”. Raz po raz coś mi zabierał. Z czasem jednak odkryłem, że On jest bardzo szczególnym złodziejem. Nigdy bowiem nie zabiera niczego, nie pozostawiając czegoś bardziej wartościowego!

Co Ojciec powiedziałaby ludziom, którzy już stracili nadzieję i są nieszczęśliwi w swoim cierpieniu i chorobie?

Powiedziałbym, że życie jest zawsze szansą! Od początku choroby towarzyszy mi przekonanie, że życie nigdy nie zamyka jednych drzwi, nie otwierając drugich. A my tak często uparcie tkwimy przed tymi zamkniętymi drzwiami, nie zdając sobie sprawy, że w międzyczasie otwierają się inne drzwi. Z początku choroba była dla mnie jak ciemny mur, który całkowicie odcinał jakiekolwiek spojrzenie na horyzont. Uświadomienie sobie, że życie jest zawsze szansą, sprawiło, że spojrzałem na tę ścianę innymi oczami i dostrzegłem drzwi dotąd niewidoczne dla moich oczu, które dały mi nową wizję życia. Głębszą, szerszą i piękniejszą, śmiem twierdzić! Oczywiście, wiara pomogła i wciąż pomaga mi w tym procesie. Jasne, że czasem zdarzają się sytuacje szczególnie tragiczne, trudne do zaakceptowania i poradzenia sobie. Dla osoby wierzącej jest to godzina nadziei i wiary w triumf życia, którego krzyż i śmierć są nieodłączną częścią. Niewierzącym powiedziałbym, aby zaufali instynktowi piękna życia. To także jest droga nadziei, która prowadzi nas, choć nieświadomie, ku Życiu!

Bardzo dziękuję Ojcu za to świadectwo. Jestem głęboko przekonany, że dla wielu naszych czytelników Ojca słowa będą równie ważne, jak są dla mnie.

Dziękuję, Tomku.



Doświadczenie misyjne

Do rodziny komboniańskiej dołączyłem trzy lata temu. Formacja na świeckiego misjonarza trwa dwa lata, a jej zwieńczeniem jest wyjazd na doświadczenie misyjne.

Na moje doświadczenie misyjne wyjechałem do Peru. Na lotnisku w Limie przywitały mnie Ewelina i Agnieszka, świeckie misjonarki z Polski, które już od jakiegoś czasu działają na misji w Arequipie. W pierwszym tygodniu dzięki nieprzewidzianym zmianom w planach miałem możliwość zwiedzenia stolicy tego kraju oraz zapoznania się z miejscową kulturą i językiem. Spotkania z mieszkańcami Limy okazały się bardzo przyjemne i pouczające. W mieście tym bardzo widoczny jest kontrast pomiędzy jego bogatą częścią, z pięknymi parkami, palmami, wieżowcami i willami, a dzielnicami tworzonymi przez ubogą ludność, gdzie skromne domki budowane są na groźących osuwaniem się zboczach wzgórz.

W trakcie naszego pobytu w Limie miało miejsce spotkanie świeckich misjonarzy, na którym mogliśmy zobaczyć, jak prowadzone są te spotkania w innym kraju. Mieliśmy też możliwość podzielenia się naszymi doświadczeniami. Zostaliśmy także zaproszeni na Mszę św. na zakończenie spotkania kombonianów z Peru, na którym poznaliśmy prawie wszystkich ojców i braci zakonnych przebywających aktualnie w tym kraju. Spotkaliśmy się wówczas z ojcem Maćkiem, u którego mieliśmy spędzić kolejne dwa tygodnie doświadczenia. W drodze do Pangoa, gdzie ojciec Maciek jest proboszczem, podziwialiśmy różnorodność przyrody – od terenów pustynnych, poprzez góry pokryte śniegiem, aż po zieloną i wilgotną dżunglę.

Do parafii Pangoa należą okoliczne wioski, w których ojcowie odprawiają Mszę św. raz w tygodniu albo raz na dwa tygodnie – w zależności od odległości. W jednej z takich wiosek, którą zamieszkuje plemię Nomatsiguenga, mieliśmy spędzić resztę mojego doświadczenia misyjnego. Wioska nazywa się Santa Teresita. Ludzie są tam prości, ale bardzo życzliwi i rodinni. Większość dnia spędzają pracując na polach, a wieczorami całymi rodzinami zasiadają przy ogniskach. Miejsce to jest naprawdę piękne. Do tych uroków, z pewnością, można też zaliczyć prysznic na świeżym powietrzu z widokiem na



góry, różnorakie owoce rosnące na wyciągnięcie ręki, a także życie z dala od pędu cywilizacji.

Naszym zadaniem podczas tego pobytu było zorganizowanie *vacaciones utiles* dla dzieci z wioski. Do południa miały one zajęcia, na których mogły się czegoś nauczyć i wspólnie pobawić. O godzinie 15 dla chętnych rozpoczynały się spotkania w kaplicy, gdzie śpiewaliśmy piosenki religijne i czytaliśmy Ewangelię z dnia.

Agnieszka i Ewelina – dzięki doświadczeniu ze swojej misji – miały mnóstwo pomysłów, jak zainteresować dzieci. Wykazywały się niezwykłą kreatywnością, by nauczyć je matematyki, angielskiego i hiszpańskiego. Na zajęciach plastycznych była możliwość malowania, wycinania czy nauki origami. Jednak największą radość sprawiał dzieciom ruch, śpiew piosenek z pokazywaniem, gimnastyka oraz gry sportowe, np. siatkówka i piłka nożna. Po zajęciach role się odwracały i to dzieciaki nas uczyły. Pokazywały nam, które owoce są najsmaczniejsze, gdzie jest rzeka czy jak jeść mrówki. Każdego kolejnego dnia coraz bardziej się przed nami otwierały i chciały z nami spędzać jak najwięcej czasu. Dlatego tak trudnym momentem było pożegnanie. Wszyscy bowiem mieliśmy świadomość, że prawdopodobnie już więcej się nie spotkamy.

Ludzie, których Pan postawił na mojej drodze w Peru, a także czas spędzony w Santa Teresita i na całym tym doświadczeniu był niesamowitym prezentem od Boga, który odmienił moje spojrzenie na pracę misyjną, i za który zawsze będę Mu wdzięczny. ■

Siostra Marietta



ostatnio „spotkałem” wspomniała osobę. Siostrę misjonarkę komboniankę Marię Giuseppę Scandola. Co prawda zmarła już dosyć dawno, bo 1 września 1903 r, ale czytając jej listy i świadectwa różnych ludzi, miałem wrażenie, że osobiście ją poznałem. Polubiłem ją i stała się dla mnie kimś ważnym. Kimś, kto wciąż ma coś ważnego do powiedzenia mnie i każdemu innemu, czy to młodszemu czy starszemu.

Siostra Maria Giuseppa Scandola urodziła się 26 stycznia 1849 r. w Bosco Chiesanuova, malowniczej miejscowości otoczonej pięknymi górami, nieopodal Werony. Była trzecią córką Antoniego Scandoli i Giuseppiny Leso. Następnego dnia po narodzinach ochrzczono ją w kościele parafialnym pw. NMP Niepokalanie Poczętej. Dwa lata później na świat przyszedł jeszcze jej braciszek Jakub Antonio. Marię Giuseppę najbliżsi ciepło nazywali Mariettą. Rodzina Scandola była

rodziną prostą, skromną, pracowitą i przepełnioną wiarą.

W roku 1871 Marietta, kiedy miała 22 lata, spotkała księdza Daniela Comboniego i wtedy jej życie zmieniło się o 180 stopni. Ten kapłan był niezwykle człowiekiem. Był misjonarzem, który odbył już kilka podróży w głąb Afryki Centralnej i akurat szukał mężczyzn i kobiet, którzy by pragnęli dzielić z nim jego marzenia o ewangelizacji Czarnej Łądy. Marietta po rozmowie z rodzicami i swoim proboszczem, ale przede wszystkim po rozmowie z Panem Bogiem zdecydowała się na wstąpienie do Zgromadzenia Pobożnych Matek Nigrizi – później nazwanych misjonarkami komboniankami – założonego właśnie przez Daniela Comboniego. W roku 1872 przybyła do Werony, gdzie sam założyciel przyjął ją jako jedną z pierwszych sióstr do swojego nowego zgromadzenia. I tak oto zaczęła się dla niej wielka przygoda misyjna.

Po sześciu latach formacji i przygotowań Marietta złożyła śluby zakonne wraz z czwórką innych sióstr: Teresą Grigolini, Marią Caspi, Vittorio Paganini i Concettą Corsi. Były to pierwsze siostry, które Comboni zabrał ze sobą do Afryki. Kardynał Werony podczas uroczystej Mszy poświęcenia wręczył każdej z nich krzyż misyjny. Uroczystościom tym towarzyszyło całe miasto, które z entuzjazmem i wielkim uznaniem patrzyło na młode zakonnice, które oddawały swoje życie dla Pana Boga, żeby ewangelizować Afrykę Centralną.

Nieodłącznym elementem życia misyjnego są nowe wyzwania i trudności. Ale też chwile radości. Comboni podczas tej podróży – a była to już jego siódma podróż do Afryki – tak opisywał tę sytuację: *Potrzebuję przynajmniej 150. wielbłądów, a mam ich tylko 50 i w dodatku są głodne, i dają już znaki zmęczenia, bo w tym roku nie było ani kropli deszczu z nieba. Poziom rzeki Nil jest tak niski, że*





brakuje wody i wielbłądy umierają. Jestem najbardziej zakłopotanym człowiekiem na świecie: podwójny wysiłek, podwójny wydatek, podwójne niebezpieczeństwa, podwójne niepewności. Jak pięknie jest cierpieć dla Jezusa! Dziesięć kroków od pnia, na którym piszę, jest 45 stopni gorąca, a dopiero jesteśmy w połowie marca. A mimo to ja, moje pięć siostr, które są ze mną (są to prawdziwe anioły), i bracia rzemieślnicy jesteśmy najbardziej szczęśliwymi ludźmi na ziemi.

Wiele burz i niespokojnych wiatrów uderzyło w młodą misję i w naszą główną bohaterkę. Jej serce głęboko zakorzenione w Bogu zawsze pozwalało jej z nadzieją iść do przodu. Pierwszym trudnym wydarzeniem po rozpoczęciu pracy misyjnej była śmierć misjonarzy i misjonarek, którzy z powodu malarii, cholery i innych chorób tropikalnych umierali, nie mając nawet 30. lat. Po trzech latach pracy w Sudanie i pierwszych radościach, które towarzyszyły Mariettcie na początku, uczestniczyła w ostatnich chwilach życia biskupa Daniela Comboniego. Jego przedwczesna śmierć była ogromnym ciosem dla niej i dla po-

zostalej grupy misjonarzy. Do końca swojego życia pamiętała jego ostatnie słowa – *Mieście odwagę! Mieście odwagę w tej trudnej godzinie, a jeszcze bardziej na przyszłość! Nie rezygnujcie! Nie poddawajcie się nigdy! Stawiajcie czoła bez lęku każdej burzy, która nadejdzie! Nie bójcie się! Ja umieram, ale moje dzieło nie umrze!* – które stały się dla niej oparciem w różnych trudnościach.

Sześć miesięcy później wybuchła rewolucja Mahdiego, która trwała 16 lat. Mahdi to samozwańczy prorok, który chciał „oczyścić” Sudan z chrześcijaństwa i władzy egipsko-angielskiej. Ten okres był dla Marietty najtrudniejszy. Była świadkiem, jak niszczone dopiero co założone placówki misyjne. Co więcej, widziała jak Mahdi więził i źle traktował jej siostry misjonarki i misjonarzy. Niektórzy z nich umierali. Widziała też chrześcijan cierpiących prześladowania. Cudem uciekła z Chartumu do Kairu przed aresztowaniem. W Egipcie została matką prowincjalną wbrew własnej woli. Decyzję siostr traktowała jak wolę Bożą. W tej nowej roli doświadczyła wiele przykrości i pomówień.

Ostatecznie zdecydowała się sama ustąpić z funkcji przełożonej.

Kochani, siostra Marieta w swojej posłudze misyjnej doświadczyła wiele trudności. Mimo tego zachowała pogodę ducha. Miała tysiące powodów, by zrezygnować z działalności misyjnej. Ale tego nie zrobiła. Chciała być wierną pomimo wszystko. Kiedy ktoś przychodził do niej po poradę w trudnościach, mówiła: *Jeśli ci się zdarza być zmęczonym/a pod ciężarem krzyża, to idź i spojrzyj na Ukrzyżowanego, ożyw wiarę i idź do przodu z odwagą.* Żyła blisko Boga, który był źródłem jej męstwa w pokonywaniu trudności. Kochała Jego i Najświętszą Maryję Pannę ponad wszystko i wszystkich. Wiele czasu spędzała przed Najświętszym Sakramentem, adorując Jezusa Eucharystycznego podczas dnia i nocy. Chociaż dużo czasu poświęcała na modlitwę, to była też osobą twardo stającą po ziemi, daleka od poszukiwania „nadzwyczajnych objawień”.

Obecnie się mówi, że ludzie nie cenią sobie wierności, że wierność przeszła do lamusa historii.

Dzisiaj jak nigdy wcześniej potrzebujemy ludzi wiernych cennym wartościom, zasadom i postanowieniom. Wierność bowiem to synonim miłości.

Nie ma prawdziwej miłości bez wierności. Z pewnością, żeby być wiernym, trzeba się sporo natrudzić, a nawet iść pod górę. Ale kiedy już zdobędziemy szczyty wierności, to przed nami będą się rozciągać horyzonty szczęścia i spełnienia, których widoki zrekompensują każdy trud.

Siostra Marietta służyła w różnych placówkach misyjnych między Sudanem a Egiptem. W Berber, El Obeid, Kharoum, Schellal, El Gezirah, Cairo, Assuan. Bardzo dobrze poznała te dwa kraje i płynnie posługiwała



się językiem arabskim. Ostatnią jej placówką była misja w Lul w obecnym Sudanie Południowym. Była to nowa misja otwarta tuż obok majestatycznej rzeki Białego Nilu. Ojciec Beduschi, młody kombonianin, który dopiero co przybył z Włoch, by rozpocząć pracę misyjną, ciężko

się rozchorował. Był blisko śmierci. Wszyscy myśleli, że to już jego koniec. Kiedy siostra Marietta dowiedziała się o tym, modliła się do Pana prosząc, żeby wziął w zamian jej życie, a jemu dał łaskę zdrowia. W przeciągu kilku godzin ojciec Beduschi wyzdrowiał w cudowny spo-

sób, ona natomiast niespodziewanie dla innych umarła. Stało się tak jak w Ewangelii, kiedy Jezus mówi: *Nie ma większej miłości nad tę, gdy ktoś poświęca swoje życie za przyjaciół.* Bóg wysłuchał jej modlitw. Misjonarz ten jeszcze przez wiele lat głosił słowo Boże w Sudanie.

Kochani, siostra Marietta to kobieta bezgranicznie zakochana w Bogu i w ludziach Sudanu. W sposób heroiczny kochała, wierzyła i ufała. Jest dla nas niedoścignionym wzorem i inspiracją jak ewangelizować, jak pokonywać trudności i jak kochać. Niech się wstawia za nami i wyprasza liczne i święte powołania misyjne kapłańskie, zakonne i świeckie. I niech nigdy nie zabraknie tych, którzy/e będą kontynuować marzenia świętego Daniela Comboniego, tak jak to przez całe swoje życie robiła siostra Marietta.

Kochani Młodzi, Zgromadzenie Sióstr Kombonianek powstało w Weronie 1 stycznia 1872 r. Daniel Comboni nie wyobrażał sobie ewangelizacji Afryki bez pomocy kobiet konsekrowanych. Mówił, że jedna siostra w Afryce to jak trzech kapłanów w Europie. Siostry kombonianki pracują w 30. krajach świata – w Afryce, obu Amerykach i Azji. Posługują, podobnie jak i ojcowie, bracia zakonnicy i świeccy, we wspólnotach międzynarodowych. Naszą misją jest wyłącznie misja *ad gentes*. Jeśli ktoś z Was chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o naszej działalności, to serdecznie zapraszam do odwiedzenia strony www.comboniane.org ■



Chcesz zostać misjonarzem?

SKONTAKTUJ SIĘ:

o. Benoit Azameti MCCJ • tel. 509 058 099 • benedettoazameti@gmail.com
o. Paweł Opiola MCCJ • tel. 797 178 182 • o.pawelcomboni@gmail.com

Moje powołanie

Kochani Młodzi, poprzez doświadczenia własne i innych ludzi uczymy się, że powołanie jest czymś niezwykle ważnym, bo nadaje sens naszemu życiu. Wszyscy jesteśmy powołani do konkretnej misji w naszym życiu. Powołanie nie jest czymś, co należy do przeszłości, ale czymś, co na nowo przeżywamy każdego dnia w różnych wydarzeniach, w słowie Bożym i w ludziach wokół nas.

Urodziłem się w niewielkiej wiosce Chisembe w północnej części Zambii. Moi rodzice, wujkowie, ciotki i babcie są całym sercem oddani Chrystusowi. Z tej mojej silnie katolickiej rodziny czerpałem wartości, które ukształtowały moje życie.

Czas dla Boga jest najważniejszy, bo jeśli nie ma Jego inicjatywy i błogosławieństwa, to nic się nie wydarzy w naszym życiu. Kilka razy próbowałem uciec od mojego powołania, ale Bóg mnie wciąż szukał i wzywał do swojej służby. W szkole podstawowej zrobiłem sobie dwa lata przerwy w nauce, po czym stwierdziłem, że szkoła jest dobra i powróciłem do niej. Między gimnazjum a liceum znowu zrobiłem sobie przerwę. Po ukończeniu liceum poszedłem do pracy, choć nie miałem żadnego zawodu. I pracowałem przez trzy lata. Po tym czasie moje powołanie do kapłaństwa zaczęło nabierać kształtu i kierunku.

Moja droga do kapłaństwa rozpoczęła się od doświadczeń w rodzinie. Już mój wujek był księdzem (obecnie jest emerytowanym biskupem), więc kiedy tylko nas odwiedzał, podziwiałem go i chciałem być taki jak on. Jego wizyty i odprawianie Mszy zaszczepiły we mnie pragnienie zostania księdzem.



Jak wspomniałem, zaraz po ukończeniu szkoły poszedłem do pracy w kopalni miedzi. Potem wstąpiłem do Zgromadzenia Najświętszych Stygmatów. Formację rozpocząłem w Tanzanii, gdzie też odbyłem studia filozoficzne. Po krótkim okresie postulatu w RPA wysłano mnie do nowicjatu we Włoszech, gdzie zrobiłem sobie kolejny rok przerwy. Wróciłem do Lusaki i podjąłem pracę. Nie odnajdywałem jednak spokoju serca.

Podczas pobytu we Włoszech, ale już po odejściu od stygmatystów, pojechałem do Werony, żeby spotkać się z przyjaciółmi. W tym mieście znajduje się wspólnota misjonarzy kombonianów. Któregoś dnia odwiedziłem ich i zobaczyłem tam ogromną tablicę ilustrującą obecność misjonarzy kombonianów w świecie. Zobaczyłem, że są też obecni w moim kraju. Na ten widok drgnęło mi serce. W głowie zaświtała mi myśl, że może by przyłączyć się do nich, skoro są u nas. Ten obraz stał się bardzo ważny dla mojego rozeznania powołania. Powoli zacząłem wyobrażać siebie jako misjonarza kombonianina. I ta myśl napełniała mnie niesamowitą wewnętrzną mocą i radością.

I tak w roku 2010 wstąpiłem do misjonarzy kombonianów. Od-

byłem wszystkie niezbędne etapy formacji i w roku 2018 otrzymałem święcenia kapłańskie. Święty Daniel Comboni wciąż jest dla mnie wielką inspiracją, jak być dobrym misjonarzem.

Najpierw pracowałem w zambijskiej Chama w parafii pod wezwaniem św. Daniela Comboniego, a obecnie jestem proboszczem parafii św. Jana Chrzciciela-Lirangwe w Malawi. W tej długiej podróży, którą odbyłem, widziałem rękę Boga działającą w moim życiu. Na różnych etapach życia próbowałem uciec od swojego powołania poprzez przerwę w szkole czy opóźnienie w formacji. Jednak Bóg był bardzo cierpliwy. Nieważne jak bardzo próbujesz się oprzeć powołaniu Boga, bo jeśli On cię pragnie, zrobisz to w odpowiednim czasie. Czas Boga jest najważniejszy.

Kochani Młodzi, zachęcam Was do uważnego słuchania Boga. On nieustannie do nas przemawia, bo pragnie, byśmy się wsłuchiwali w Jego głos i na Jego słowie budowali życie. Bo tylko życie budowane na Bogu może być szczęśliwe i spełnione. Bóg nie powołuje wykwalifikowanych, ale kwalifikuje tych, których powołał. ■

Doceniać



Przeczytałam kiedyś historię pewnego mężczyzny, który chciał sprzedać swój stary dom. Nie potrafił jednak napisać ogłoszenia, dlatego zwrócił się o pomoc do znajomego pisarza. A ten po kilku dniach przysłał mu gotowy tekst: „Sprzedam stary, piękny dom, zbudowany ze stuletnich desek. Rankiem przez niewielkie okna do wnętrza domu zagląda wschodzące słońce i przenika je swoim światłem. Popołudniami rześki cień daje urocza weranda obrosnięta dzikim winem. Dom otacza dębowy las, z którego dochodzi piękny śpiew ptaków. Nieopodal płynie potok z krystalicznie czystą wodą, a wieczorami księżyc i gwiazdy rozświetlają wszystko swoim blaskiem”.

Po kilku tygodniach pisarz zadzwonił do swojego znajomego z zapytaniem, czy napisane przez niego ogłoszenie przyczyniło się do sprzedaży domu. W odpowiedzi usłyszał: „Mojego domu nikt nie kupił, bo kiedy przeczytałem twoje ogłoszenie, postanowiłem go nie sprzedawać. Dzięki tobie doceniłem go i zrozumiałem, jakim jest skarbem”.

Po przeczytaniu tej krótkiej historii położyłam na stoliku czystą kartkę papieru i wzięłam do ręki długopis. Po chwili zastanowienia zaczęłam spisywać na niej wszystko, co w swoim życiu mam. Na początku to, co jest dla mnie najważniejsze – że żyję, wierzę w Boga, mam kochającą rodzinę, przyjaciół, którzy ciepło o mnie myślą, że mam zdrowie, przytulne mieszkanie, dobrą pracę, że mogę chodzić, słyszeć, widzieć i mam co jeść, że potrafię kochać i jestem kochana... Zapełniając powoli pustą wcześniej kartkę, coraz bardziej uświadamiałam sobie, jak wiele posiadam. Wypisując kolejne rzeczy, coraz bardziej się cieszyłam i za wszystko dziękowałam Panu Bogu.

Tak naprawdę bardzo się cieszę z tego, co mam i szczerze to doceniam, jednak czasem myślę też o tym, czego mi jeszcze brakuje. I właściwie nie ma w tym nic złego, ale pod warunkiem, że nie stracę radości i nie zapomnę o wdzięczności z posiadania tego, co już udało mi się w życiu osiągnąć. Bywa bowiem, że szybko przyzwyczajamy się do dobrych rzeczy i myślimy, że będą nam one towarzyszyć zawsze.

Całkiem niedawno, bo w Niedzielę Miłosierdzia Bożego, wybrałam się do sanktuarium w krakowskich Łagiewnikach. Kapłan kończąc Mszę Świętą, podziękował za obecność wszystkim pielgrzymom przybyłym nie tylko z całej Polski, ale i z różnych zakątków świata. Uświadomiłam sobie wtedy, że tak wielu ludzi pokonało długą drogę, by móc modlić się przez obrazem Jezusa Miłosiernego i ucałować relikwie świętej siostry Faustyny. A ja mogę bywać tam codziennie. Widząc te rzesze ludzi, jeszcze bardziej doceniłam fakt, że mieszkam tak blisko tego wyjątkowego miejsca. I rzeczywiście czasem potrzeba świadectwa innych ludzi, by dostrzec wartość tego, co posiadamy.

Usłyszałam kiedyś od koleżanki, która jest psychologiem, że aby coś bardziej docenić, wystarczy wyobrazić sobie, że to tracimy. I spróbowałam. Przez chwilę wyobraziłam sobie, jak wyglądałoby moje życie bez Boga, bez wsparcia kochającej rodziny, bez ciepłych słów przyjaciół, bez zdrowia, pracy czy mieszkania... I już nie chcę sobie więcej tego wyobrażać, tylko pragnę to bardziej doceniać! I za to wszystko gorąco dziękować Bogu każdego dnia.

Ostatnio postanowiłam sobie, że będę codziennie odnajdywać choć jedną rzecz, którą docenię. Bo w życiu bardzo potrzebne jest docenianie tego, co się ma. Tak po prostu. Warto się zatrzymać na chwilę w zabieganej codzienności i zastanowić się nad tym, co już mamy, a czego jeszcze nie doceniamy. Bo jeśli już będziemy wiedzieć, co posiadamy, to łatwiej nam będzie podzielić się tym z innymi. A gdy będziemy się nawzajem ubogacać, to upiększymy nie tylko swoje życie, ale piękniejszy będzie również świat.

Drodzy Czytelnicy, jestem Wam niezmiernie wdzięczna, że czytacie moje teksty, doceniam Wasz każdy, nawet najmniejszy gest życzliwości. Życzę sobie i każdemu z Was, abyśmy nie pragnęli mieć wszystkiego ciągle więcej, ale mieli to, co jest nam naprawdę potrzebne. I potrafili doceniać nawet drobne rzeczy, które otrzymujemy z pomocą Boga i innych ludzi. ■

CEGIEŁKA DLA MISJONARZA

Drodzy Przyjaciele Misji!

Tylko niektórzy wyjeżdżają na misje w dalekie zakątki świata, ale każdy z nas w intencji misjonarzy i misjonek może ofiarować modlitwę, trud swojej pracy i wszelkie cierpienia, a także pomoc materialną. Pan Bóg wybiera ludzi, którzy pozostawiają swoje domy i pokonują tysiące kilometrów, by w imieniu nas wszystkich głosić Chrystusa najbardziej biednym i opuszczonym. Misjonarze często nie mają nic więcej aniżeli serca otwarte, aby pokochać innych, i ręce gotowe do pracy. Mogą jedynie liczyć na nasze wsparcie, by móc w pełni wypełniać dzieło ewangelizacji.



**Za Wasz dar serca i nieustanną chęć dzielenia się stokrotnie dziękujemy.
Niech Wam Pan Bóg sówicie to dobro wynagradza.**

**Misjonarze Kombonianie ul. Skośna 4, 03-383 Kraków
nr konta: 56 1240 6074 1111 0000 4989 3999 z dopiskiem „Cegiełka dla misjonarza”**

CZY WIESZ, ŻE...

-  Komboniańskie centrum rekolekcyjno-konferencyjne w Warszawie jest otwarte dla wszystkich, którzy pragną przeżyć dni skupienia, rekolekcje czy choćby potrzebują noclegu.
-  Każdy, kto gości w domu misjonarzy kombonianów, ma okazję poznać i pokochać misję, ale również znajdzie czas na modlitwę i odpoczynek.



 **Misjonarze
Kombonianie**
W POLSCE

WARSZAWA

ul. Łączna 14, 03-113 Warszawa
tel. 22 676 56 28, kombonianiewa@gmail.com

KRAKÓW

ul. Skośna 4, 30-383 Kraków
tel. 12 262 34 68, kombonianie@gmail.com

www.kombonianie.pl